Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Poniedziałek 22 Stycznia Nr 29. 1838 Roku.

NOCLÉG ŻOŁNIÉRSKI.
(*Bivouac.*)
(ZDARZENIE PRAWDZIWE.)

W roku 18... w miesiącu Lutym, oddział piechoty w niebieskich, z czerwonémi ozdobami mundurach których powiérzchowność śmiała, zdradzała francuzkich żołniérzy, wdziérał się powoli na liczne wzgórza tak bardzo utrudzające przebywanie prowincyi Guipuscoa w Hiszpanii. Była to kompanija Grenadyerów, dowodzona przez kapitana Gerard, młodziéńca przed trzema laty wyszłego z wojskowéj szkoły. Oficer ten miał fizyognomyą imponującą. Poważną, i pełną zimnéj rozwagi, we wszystkich jego postępowaniach odznaczała się piękna dusza.

Podczas gdy Grenadyerowie postępowali nucąc patryotyczne hymny, kapitan, od czasu do czasu spoglądał na horyzont i otaczające drogę, gęste krzewy.

Gdy doszli do szczytu wzgórza, znaleźli się na piaszczystéj równinie, gdzie po znużeniu z rozkoszą usłyszeli rozkaz dowódzcy wzywający do wypoczynku; natychmiast ustawiono broń w kozły, straże w pewnych odległościach umieszczono; w pośród równiny rozłożono ogień który różowym połyskiem oświécił piękną, lecz ostrą porą zdziczałą okolicę.

Gerard zbliżywszy się do ognia rzekł do towarzyszów: »spodziéwam się że jenerał nie będzie miał powodu użalania się na nas, gdyż jak się zdaje, widok nas jest dostatecznym dla junakujących Gerylasów do wstrzymania ich w boju; teraz bowiém, gdy my tu dobroczynnym płomiéniem się rozgrzéwamy, mogliby nas gradem kul powitać. Szczęściem że dość ztąd są daleko, bo w istocie sądzić można, że nawet broń którą w ręku trzymają obawą ich przeraża.

»W rzeczy saméj, to jest okropnie,« przerwał mu młody podporucznik, »ubiégać się za zwierzyną która się schronić nie umié. Zważ tylko kapitanie, te szczególne postacie które jak widma snują się po za górami? Czyż nigdy ich nie dościgniemy? i niezapewniemy się czy nasze bagnety nie zdołają duchów pokonać?«

»Cierpliwości tylko, przyjacielu, cierpliwości,« odrzekł Gerard; »jutro niezawodnie zajrzémy im w oczy, gdyż już teraz nie podobna żeby nam nieprzyjaciel ujść zdołał.«

Oficerowie zbliżyli się do ognia, dymiąca się w kociołkach nad tymże zawiészonych zupa, roznosiła woń pożywną, w krótce takową rozdano. Gdy się wszyscy posilili, zajęto się ułożeniem posłania z suchych liści, i każdy jak mógł tulił się pod swym płaszczem.

Gerard równie jak jego podkomendni spoczywał na ziemi, lecz nie myślał zasypiać.

Młody podporucznik widząc to zawołał: »Kapitanie, dla skrócenia czasu opowiédz nam zdarzenie którego przed sześcią miesiącami w klasztorze zakonnic doświadczyłeś.«

Towarzysze przyłączyli swe prośby do podporucznika, a Gerard widząc iż im się wymówić nie zdoła, w następujące się odezwał słowa: »W miesiącu Październiku roku zeszłego: batalion nasz, którego straty wynagrodziliście na wiosnę, zniszczony wojną, i prawdę mówiąc, przerzedzony zbiegostwem, zajął stanowisko w okolicy Sgo Sebastyanu. Oddzielony od armii, dowodzonéj przez niedoświadczonych wodzów; okropna rozpacz przéjmowała naszych młodych wojowników; przesadzano niebezpieczeństwo kraju; w którym wystawiano każdego człowieka zaciętym nieprzyjacielem, każdą skałę fortécą, każde drzewo kryjówką dla złych. — Jednego dnia, znaleziono na drodze młodego ochotnika bez życia; ciało jego było okropnie pokaléczone; gubiono się w domysłach, czyliby napaść dzikiego zwiérza była jego śmierci przyczyną, lecz widoczne ślady przekonywały iż ręka ludzka i razy bronią zadane przecięły dni jego. Postrach przejął wszystkich; dwóch okolicznych wieśniaków zostało rozstrzélanych, mnie jenerał wysłał na czele cztérdziestu ludzi dla przetrzą-

śnienia poblizkiego klasztoru, gdzie, jak powszechnie mówiono, dano przytułek kilku góralom hiszpańskim.

Po cztéro-godzinnym wspinaniu się po górach spostrzegliśmy czworograniasty dom, bez drzwi i okien, stał on, jakby wrośnięty w skałę na któréj był wystawiony. Dziesięciu odważnych ludzi byliby ztamtąd mogli dać silny odpór całemu batalionowi. Za uderzeniem w odwieczne drzwi, otworzyły się takowe, i ujrzeliśmy zgrzybiałą zakonnicę która, szepcząc paciérze z trwogą nam wnijść dozwoliła.

Rozstawiłem straże przy wszystkich drzwiach, jedne tylko były zewnątrz któremiśmy weszli. Zacząłem przegląd, który był bardzo krótki. W kaplicy z wszelkich ogołoconéj ozdób, klęczało cztéry zakonnic przed ołtarzem nader prostéj roboty. Sypialnia była obszérna, całą jéj ozdobą stanowiły pięć krzyżów drewnianych. Kuchnia zaś, była bez wątpienia najmniéj z wszystkich klasztornych kuchien zamożną. Kilka sucharów przed miesiącem pieczonych, trochę suchego grochu, i dzban nie świéżego oleju składały śpiżarnią zgromadzenia.

Na widok takiéj nędzy, zostałem przejęty szacónkiem i litością dla tych biédnych, słabych kobiét, które miészkając prawie nad obłokami spokojnie w przyszłość spoglądały. Przebywszy wszystkie zakąty zabudowania udałem się do pobożnych niewiast w celu zaspokojenia ich względem sprawozdania z mojego polecenia; znalazłem je zgromadzone w kaplicy; przełożona czytała głośno psalmy pokutne, a siostry powtarzały za nią. Ja także od pobożnéj matki przyzwyczajony do modlitwy, połączyłem moje. Nie wątpię iż to natychmiast spostrzédz musiały, lecz przejęte duchem prawdziwéj żarliwości najmniéjszém poruszeniem nawet nie okazały zdziwienia; śpiéw ich nie uległ najlżéjszéj zmianie, i tym sposobem dokończyliśmy śpiewu króla proroka.

Modły ich trwały dłużéj jak bym sobie mógł życzyć. Odznaczający się jeden głos, zdawał się należeć do osoby młodéj, z dzieciństwa dopiéro wychodzącéj, przéjmował on mnie szczególniéjszym uczuciem. Nie poj-

mując sam siebie padłem na kolana, i powtarzałem: *Módl się za nami* z równą pobożnością jak te dziewice wiecznéj modlitwie poświęcone. Przy mdłym połysku lampy u sklepienia zawieszonéj, która ponure światło na otaczające mnie przedmioty rzucała, zdawało mi się że jestem we śnie pogrążony, gdy przełożona, z zapaloną świécą w ręku do mnie się zbliżając rzekła: Waćpan jesteś dobrym Francuzem! Najświętsza Panna niech cię ma w swéj pieczy.

Po tych słowach oddaliła się z pięcią siostrami; ostatnia z tychże, na któréj twarz bladą migające światło świécy padało, wydawała mi się bardzo piękną, lecz bladość przerażająca czyniła ją raczéj do marmurowego posągu podobniéjszą jak do żyjącéj istoty.

Nazajutrz z rana oddział mój był gotów do odéjścia, gdy się udałem do rozmownicy dla pożegnania zakonnic, i oznajmienia im iż mogą być pewne obrony naszéj w każdym razie, jeżeli tylko przytułku góralom nie dadzą. Zastawszy je wszystkie razem miałem sposobność przekonania się iż wspomniona zakonnica była rzeczywiście rzadkiéj piękności, i uczyniła na mnie nie zatarte lecz razem pełne uszanowania wrażenie.

Przełożona podziękowała mi wtkliwych za to zapewnienie wyrażach, i oświadczyła że mnie w swych modłach nie przepomni.

W pół godziny potém, klasztor znikł nam z przed oczów, i zagłębiliśmy się w krzewistą drogę, zasadzoną różowémi laurami i wonnémi rhododendronami których piękny kwiat uginał się pod stopy nasze. Gęste strzały przerwały otaczające nas milczenie. Krzyki i jęki umiérających i rannych napełniały powietrze. Żołniérze moi zostali okropnie pomordowani. Wpadliśmy w zasadzkę.

Znacie Panowie napady hiszpańskie, tlejący popiół, cokolwiek dymu wznoszącego się po nad murawą, wskazuje tylko nieprzyjaciela i miéjsce które już porzucił. — Odwaga staje się wten czas bezużyteczną, a ucieczka nie chroni od śmierci, gdyż się jest od dawna ściganym i otoczonym bez ratunku.

W towarzystwie mojego Porucznika, zwróciłem się ku stronie zkąd strzały leciały dla pomszczenia się na napadających. Wkrótce widziałem się pośród

rannych i umiérających, porucznik padł przy mnie; z całéj kompanii zostało tylko sześciu ludzi i ja.

Usiłując wstąpić na wzgórek którego ziemia usuwała się pod mojémi krokami, zostałem ugodzony kulą w prawe ramię, i padłem bez zmysłów.

Strzélano jeszcze chwilę, dzikie krzyki i jęki konających obijały się o moje uszy, za otwarciem oczów spostrzegłem okropną twarz Hiszpana pochyloną nademną, uczułem zimny koniec karabinu na moich piersiach. Wyglądałem nieochybnéj śmierci czując krew upływającą z rany; przypominam sobie iż gdy padałem zemdlony ostatnie słowa które słyszałem były: *Święta Marya*. Co się daléj stało nie umiém powiedziéć, ani jak długo trwało omdlenie: gdy podniosłem ociężałe powieki, ujrzałem jak przez mgłę, brudne posłanie na którym mnie złożono, cztéry mury wilgocią przesiąkłe oświetlone jedynym oknem. Usiłowałem się podnieść, gdy silną, a razem łagodną ręką przytrzymano mnie na posłaniu. Miłosierna Matko, uratowałaś go! cichy głos przemówił po hiszpańsku. Twarz młodéj dziewczyny pochyliła się nademną. Rysy jéj napiętnowane wyrazem czucia litości, i szkarłatna chustka kształtnie od czoła do ramion spływająca uwieczniły ją w méj pamięci.

Nié mając siły do mówienia, wpatrywałem się z uwagą w tę cudowną istotę, która z rękami złożonémi siedziała nieporuszona i modliła się za mnie.

Było to pomiészkanie wieśniaka nawaryjskiego, którego twarz ogorzała przypominała mi ową, którą w chwili mojego omdlenia widziałem. Byłbym niechybnie padł ofiarą jego dzikości gdyby nie szkaplérz który mi wdzięczna za łagodne się obéjście przełożona klasztoru na szyi zawiesiła; który spostrzegłszy, wstrzymał jego dzikość i do przeniesienia mnie do swego miészkania dopomógł.

Gdy za staraniem tkliwéj Markitty odzyskałem siły, po czułém z nią pożegnaniu wróciłem do obozu w towarzystwie Nawaryjczyka którego widok przeraził żołniérzy.

Dopiéro tam się dowiedziałem że tylko cztérech ludzi z mojego oddziału wróciło, i że jenerał mszcząc się za śmierć walecznych klasztor w pérzynę obrócił.

W ten czas dopiéro wyjaśnił mi się powód udarowania mnie szkaplérzem który mi życie uratował.«

»Szczęśliwy kapitanie że się tak z téj zasadzki wywinąłeś,« rzekł podporucznik. »Jeden z moich przyjacioł podobne zdarzenie okropną śmiercią przypłacił.«

»Blizko rok temu,« mówił daléj: »Dowódzca szwadronu M..., wysłany był na wzwiady z oddziałem strzelców, o kilka mil od Tolozy. Strawiwszy dzień cały na ściganiu guerillasów i wspinaniu się po wzgórzach prowincyi Guipuscoa, pod wieczór zbliżył się z oddziałem swoim ku klasztorowi w którym umyślił noc przepędzić.

Gmach ten, położony na szczycie góry, obwiedziony był dwiema głębokiémi stawami i fossą, do którego wązka drożyna też przecinająca, prowadziła.

Zakołatano w bramę klasztoru wzywając otwarcia dla schronienia się przed dżdżystą nocą. Po niejakiéj chwili skrzypnęły na zardzewiałych zawiasach drzwi, a starzec w białym habicie reguły Śgo Benedykta ukazał się w tychże.

Szanowny ojcze, rzekł M... skłoniwszy się lekko; pozwólcież nam się schronić i posilić w tym świętym przybytku; jesteśmy bowiém strudzeni i zgłodniali bardzo. Spiżarnia i piwnica wasza bezwątpienia są dobrze zaopatrzone. Nie obawiajcie się naszéj przytomności gdyż słowu memu ufać możecie, lecz, biada wam! gdyby najlżéjsze draśnięcie spotkać miało którego z ludzi moich! to mówiąc położył rękę na rękojeści oręża. — Starzec nie rzekłszy ani słowa, z niskim ukłonem wprowadził oddział na obszérny dziedziniec.

Miéjsce to miało postać mysiéj jamy, jak sobie strzelcy w żarcie powtarzali.

Rozstawiono straże dla zabezpieczenia się od drogi i wychodu, a obéjrzawszy z niedowiérzaniem wszystkie kąty, żołniérze na rozkaz dowodzcy, złożyli broń i ustawili ją jakby parawan wokoło posłania ze słomy i antałka wina który im przyniesiono. — Dowódzca z oficerami weszli w głąb klasztoru poprzedzeni przez Przeora.

Gdy weszli do refektarza powitani zostali z godnością przez zgromadzonych mnichów. Wy-

baczcie mi, szanowni ojcowie, rzekł M... iż przerywam waszą jednostajną spokojność mojém przybyciem. Pewny jestem, że zważywszy zmuszającą mnie konieczność nie dopuścicie, iżbym się przemocą dopominać o pożywienie musiał.

Mój Panie, odrzekł Przeor z udaną spokojnością: Żądaniu twemu stanie się zadość, gdyby nawet nie zupełnie z naszémi życzeniami zgodne były. Po czém, wezwał przybyłych do zajęcia miéjsc, a mnichom polecił aby przynieśli co tylko było najlepszego w klasztorze do zjedzenia.

Gdy stół najwytworniéjszémi potrawami zastawiono, nieufność ustąpila szczéréj otwartości. Przeor z dwiema braciszkami oddalił się na chwilę, i wkrótce powrócił z kosztownémi srébrnémi naczyniami wybornym winem napełnionémi.

Gdy już apetyt cokolwiek był zaspokojony, dowódzca napełnił puhar winem i zachęcał Przeora do wychylenia takowego. Lecz ten wymawiał się ścisłością reguły która jak twiérdził używać wina im zabraniała.

Słowa te wywabiły na usta dowodzcy ironiczny uśmiéch przekonywający że temu nie wierzy; poniósł puhar do ust, lecz jakby nową myślą uderzony nieskosztowawszy postawił go na stole.

Mnichy w milczeniu spoglądali po sobie; jakby z niespokojnością oczekiwali skutku tego poruszenia. — Towarzysze, zawołał M... głosem ponurym: nie pijcie tego wina, może jest zatrute. Gdyby tak było, dobrzy bracia; moglibyście wasze dusze polecić Bogu.

Podczas tych słów oczy wszystkich wlepione były w Przeora, którego twarz spokojna zdawała się zaprzéczać niegodne posądzenie.

Pij Ojcze, natychmiast i twoi bracia to wino, rzekł groźnym głosem dowódzca. — Przeor, z dotychczasową spokojnością, wzniósł w niebo oczy, i zdawał się przez chwile namyślać co miał czynić; nareszcie wziął podawany mu puhar i wychylił do dna. Wszyscy bracia poszli za jego przykładem.

W ten czas zawołał z czuciem: A co Panowie; czyż tak niegodne posądzenie jakiego byłem

celem, nie zniknęło z waszéj wyobraźni?

Nie inaczéj, rzekł M...: oto jest najlepszy dowód, wypijając wino. Towarzysze poszli za jego przykładem; a ponieważ wino było wyborne wypróżniono wkrótce naczynia.— Dostateczna ilość takiego płynu rozdana była między żołnierzy którzy błogosławili dawców.

Rozgrzane napojem głowy zaczęły się w wesołych myślach i wyrazach objawiać, lecz dowóozca gościnnym przyjęciem ujęty, zachęcał ich do spoczynku aby pobożnemu gospodarzowi nie robić nieprzyjemności.

Na te słowa powstał Przeor, i powiodłszy wźrok przenikliwy po swych gościach piorunującym głosem zawołał:

Wstrzymajcie się Panowie, na próżno szukalibyście na téj ziemi spoczynku. Słuchajcie, i drżyjcie: Wino któreście pili jest zatrute, myśmy to uczynili. I my tą śmiercią giniemy; lecz widok zniszczenia was, osłodzi nasze ciérpienie.

Na to okrutue wyznanie, potwiérdzone wewnętrznym ciérpieniem którego już od niejakiego czasu kilku oficerów doświadczało, z wściekłością rzucili się Francuzi na morderców... Stłumione jęki, przeraźliwe krzyki, pomięszane z okropnémi przeklęctwy przerywały cichość nocy... W dniu następnym żaden Francuz z murów klasztornych nie wyszedł. Kto wié, Panowie, czy i nas podobny los nie czeka?«

»Nie myślmy o tém,« rzekł jeden z słuchających, a poprawiwszy gasnący ogień zasnął snem twardym dla pokrzepienia sił do nowych jutrzéjszo-dniowych trudów.



SZARADA.

Piérwsze wyraz zakładu, a drugie na-
(dziei,
Wszystko człowiek odebrał z przezna-
(czeń kolei;
Codzień na to narzéka, codzień łaje
(szydzi,
A czém więcéj ma w sobie, więcéj w dru-
(gich widzi.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.